

U progu nowego sezonu

str 6

Gazeta Łódzka

Nr 206 (8594) Białystok — Łomża — Suwałki, 9—10 września 1978 r. NAKŁAD 180.296 Cena 1 zł

W ostatnim czasie dodatkowe ilości kombajnów i ciągników produkują w terenach, gdzie jest już po żniwach.

Rolnikom zapewniło również inne formy wszechstronnej pomocy ze strony państwa oraz przedsiębiorstw usługowych wsi. Aby przyspieszyć omloty kieruje się do tych par również kombajny, które świadczą te usługi po obniżonych cenach. Rolnictwu zapewniło również dodatkowe środki finansu z budżetu państwa, z przewozu ziarna oraz pomocy ze strony młodzieży, żołnierzy, zakładów pracy itp.

Dziś, w Szwanku i Białogostoku oraz jutro — z Łomży wyjeżdża na Centralne Dożynki do Olsztyna 200-osobowa delegacja z województwa białostockiego, w skład której wchodzi 100 delegatów samorządu wiejskiego, wórzów mechanizatorów i 100 pracowników rolniczych, 50 pracowników przedsiębiorstw i zakładów przemysłowych, 50 pracowników gospodarstw rolnych, rolniczych spółdzielni produkcyjnych i państwowych ośrodków maszynowych.

Kulminacyjnym punktem pobytu naszych przedstawicieli na dożynkach będzie udział w Centralnych Dożynkach — 78.

Wojewódzkim ekipom przewodzają prezesi WZRR: białostockiej — MARIAN KUKLA, tomskiej — JANUSZ REPIŃSKI, sułkowskiej — JERZY NIEMCEWICZ, z Lublińskiego NARKIEWICZ, (haka)

Wczoraj, w Białymstoku rozpoczął obrady XXI Walny Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Elektryków Polskich, organizacji naukowo - technicznej zrzeszającej prawie 50 tys. inżynierów i techników, specjalistów elektroenergetyki, telekomunikacji, elektroniki i innych dziedzin elektryki.

Na zjazd przybyli m. in. minister Energetyki i Energii Atomowej — Andrzej Szozda, minister Łączności — Edward Kowalczyk, zastępca przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów — Janusz Hrynklewicz, wiceprezes NOT — Lechosław Kruszczyński oraz goście z województwa z I sekretarzem KW PZPR — Władysławem Juszkiewiczem i wojewodą

wodą — Leopoldem Rybakiewiczem. W obradach uczestniczą delegacje organizacji technicznych z ZSRR, Węgier i Bułgarii.

Od blisko 60 lat Stowarzyszenie Elektryków Polskich aktywizuje środowiska naukowo — techniczne

pracy na rzecz rozwoju
społeczno - gospodarczego
kraju, a w szczególności
zakresie wykorzystania róż-
nych gałęzi elektryki dla
szybszego technicznego po-
stępu przemysłu i sfery us-
ług. Prezes SEP - Tadeusz
Drzyk w referacie wygło-
szonym na zjeździe podkre-
ślił, iż XII Plenum KC
PZPR zobowiązuje organi-
zację do podjęcia intensywn-
nych starań o rozwinięcie
prac badawczych oraz wdro-
żeńowych, służących mo-
dernizacji licznych działów
gospodarki narodowej. Mi-
nistrowi przemysłu i surow-
ców zbytu miało się liczyć
na ich osiągnięcie technicz-
ne.

Ciąg dalszy na str. 2

Ciąg dalszy na str. 2

**POSIEDZENIE EGZEKUTYWY KW PZPR
W BIAŁYMSTOKU**

Ocenie i kierunku doskonalenia obsługi produkcji rolnictwa oraz ocenie wykorzystania maszyn i urządzeń pochodzących z importu w latach 1977-78 w jednostkach gospodarczych województwa poświęcone było wczorajsze posiedzenie Egzekutywy KW PZPR w Białymostku.

Usługi produkcyjne w rolnictwie są podstawowym czynnikiem intensyfikacji produkcji rolnej i wzrostu wydajności pracy. Obsługa produkcyjna jest też istotnym elementem rozwoju gospodarstw specjalistycznych.

W woj. białostockim, z racji mniejszej niż średnio w kraju liczby zawodowo czynnych w rolnictwie, istnieje wysoki popyt na usługi, zwłaszcza mechanizacyjne. Obecnie tylko usługi w ochronie roślin i wapnowaniu gleb wykonywane są proporcjonalnie do potrzeb: inne zaś zadania — od 20 proc. (w siew nawozów) do 60 proc. przy zbiorze ziemniaków. Głównym

Wczoraj odbyło się w Łomży pierwsze posiedzenie Wojewódzkiego Komitetu Kontroli Społecznej, wybranego na XII sesji WRN. Obrady otworzył przewodniczący WRN, I sekretarz KW PZPR — Waldemar Szpaliński, wskazując m. in.

Ciąg dalszy na str. 2

Na kilka dni przed Świętem, dokładnie 5 września, najtrudniej było w pięciu województwach. W Suwalskim skoszono 52 proc. zbóż, w Wałbrzyskim trzeba skosić jeszcze 40 proc. zasiewów, w Jeleniogórskim — 35 procent, plus minus tyle samo w Elbląskim. W Olsztyńskim pozostało zboże na 90-tysiącach hektarów, jednak docierające z terenu wieści były pocieszające: codziennie zbiera się zboże z obszaru 12 tys. ha.

Informacje z województwa przypominają komunikaty z frontu w dniach ośmynowy. Bo żniwa są rzeczo-
wicie wojna, nie tylko go-
dzina podziwu, co rok pow-
tarzana wojna z czasem,
pogoda, oporna maszyna i
ludzkim zmęczeniu. W te-
gorocznej walce o chleb
najgorszym przeciwnikiem
jest pogoda. Ślapi, kropi, pa-
da, leje bez przerwy. Są re-
giony, gdzie od kilkunastu
dni zsiadł zimny nabrzmiały
deszcz, nie wyjął słone-
ca. A dojrzałe, choć mokre
żboże nie może czekać.

W czasie fatalnej pogody,
gdzie liczyła się każda mi-
nuta i każda godzina, sytu-
acja ratował kombajn. Pre-
zydzium Rządu podjęło ko-
nieczną choć trudną decy-
zję: zsośami przetrzącać ko-
mbajny z województwa, gdzie
żniwa na ukończeniu do
województw, gdzie sprawa

nie tak bliska finału. Liczy się czas i płon, transport kolejną odpada, bo maszyny za duże, pozostają drogi. Więc choć zużywają się silniki, choć zużywa paliwo — trzeba, bo chleb jest najważniejszy. Bez zwłoki utworzone ekipy: pięć kombinatów, wraz z nimi wóz techniczny. Efektom — 90 procent uszkodzeń i awarii naprawia się na miejscu, wręcz od ręki, i znów maszyny mogą pracować na polach.

Decyzje — jak rozkazy — określa sytuacja. Więc praca na okrągło, przez kolejne doby, nocą w świetle reflektorów. Więc pełna mobilizacja tysięcy rzeszy mechanizatorów rolnictwa: kombajnistów, traktorzystów, mechaników różnych maszyn i agregatów, ekip remontowych.

W województwie olsztyńskim pracuje aktualnie 1500 kombajnów, w walbrzys-

kim — ponad 600. A jednocześnie ciągniki o przyręczaniach, kosiarze, mierniki, dziesiątki maszyn, dziesiątki agregatów. Rolnictwo dziś ma czym bronić się przed pogodą, stawkę — jest w stanie stawiać i zwyciężyć kapryśną naturę. Sami nawet często nie zdajemy sobie sprawy, jak wielki krok do przodu w dziedzinie mechanizacji prac rolnych został uczyniony w ostatnich latach. Pięćdziesiąt tysięcy kombinów na polach jednego województwa daje przecież wyobrażenie o zromatyzowanym potencjale nowoczesnej techniki.

Zboże jest mokre, często woda stanowi 1/4 masy całego zbioru. Nie wymłócone zboże znacznie porasta, zaparzy się, skisnie. Nie wolno czekać z młocką. Wgry przed wszystkim suszenie. W przygotowywanych wcześ-

Ciąg dalszy na str. 3

PRZEMYSŁ (PAP) — 8
bm, w zespole stacji granicznych Żurawica — Medyka — Boguszów przeładowano i wyeksportowano w głąb kraju 10-milionową w br. tonę surowców i towarów importowanych z ZSRR i elektrowni „Polaniec”. Do-kerzy największego w kraju „suchego portu” przeładowali ponadto szereg innych towarów, wśród nich samochody, ciągniki i maszyny rolnicze, a także produkty naftowe.

dominowała ruda i koncentracja żelaza oraz surowica martenowa, przeczyszczone do walcowania i cięte na aluminię. Spora część wyekspedowanych ładunków stanowiły też rzadkie maszyny i urządzenia dla powstających i rozbudowujących się zakładów przemysłowych, m. in. dla Huty „Katowice”.

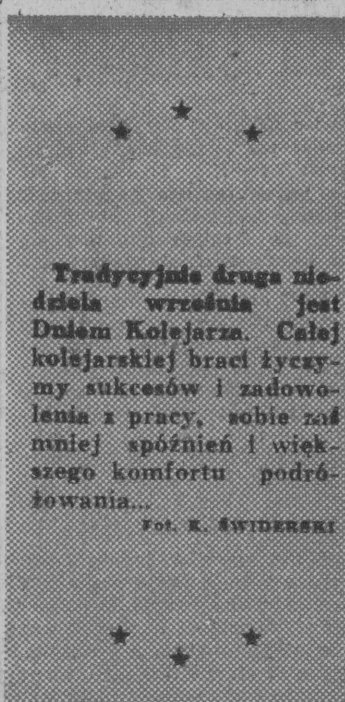
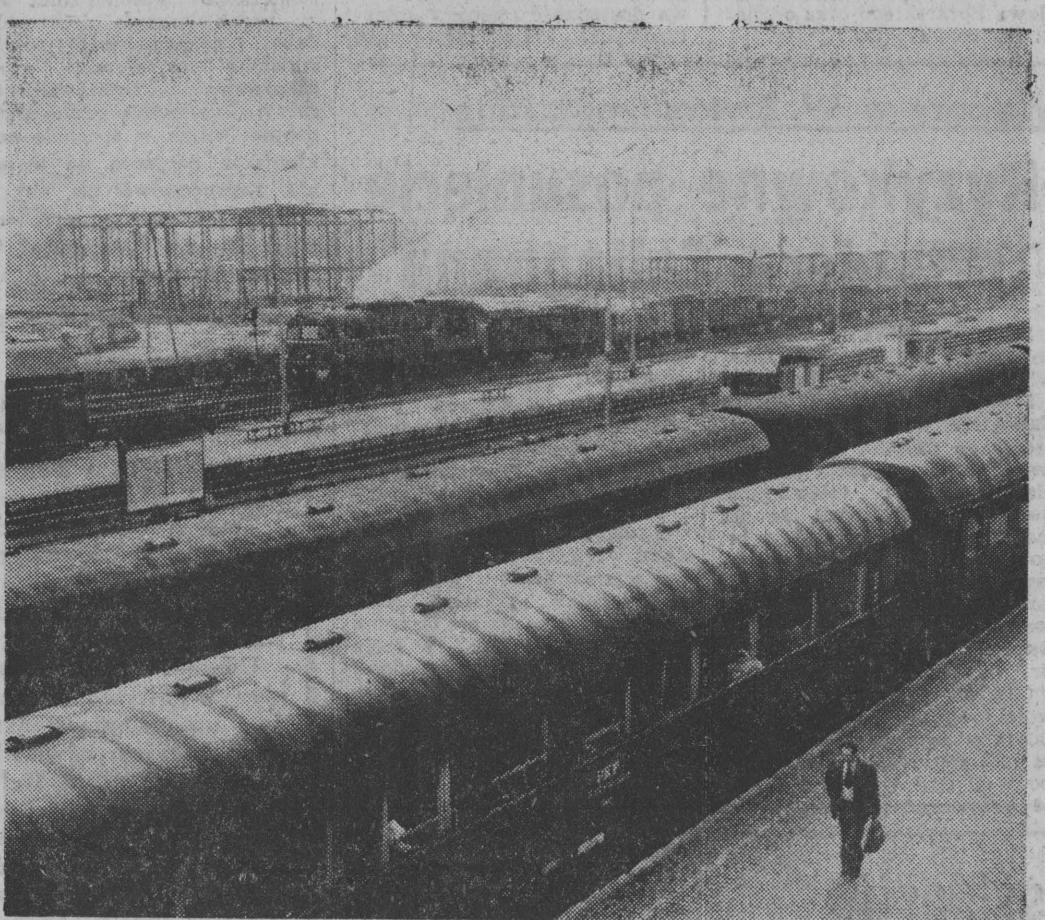
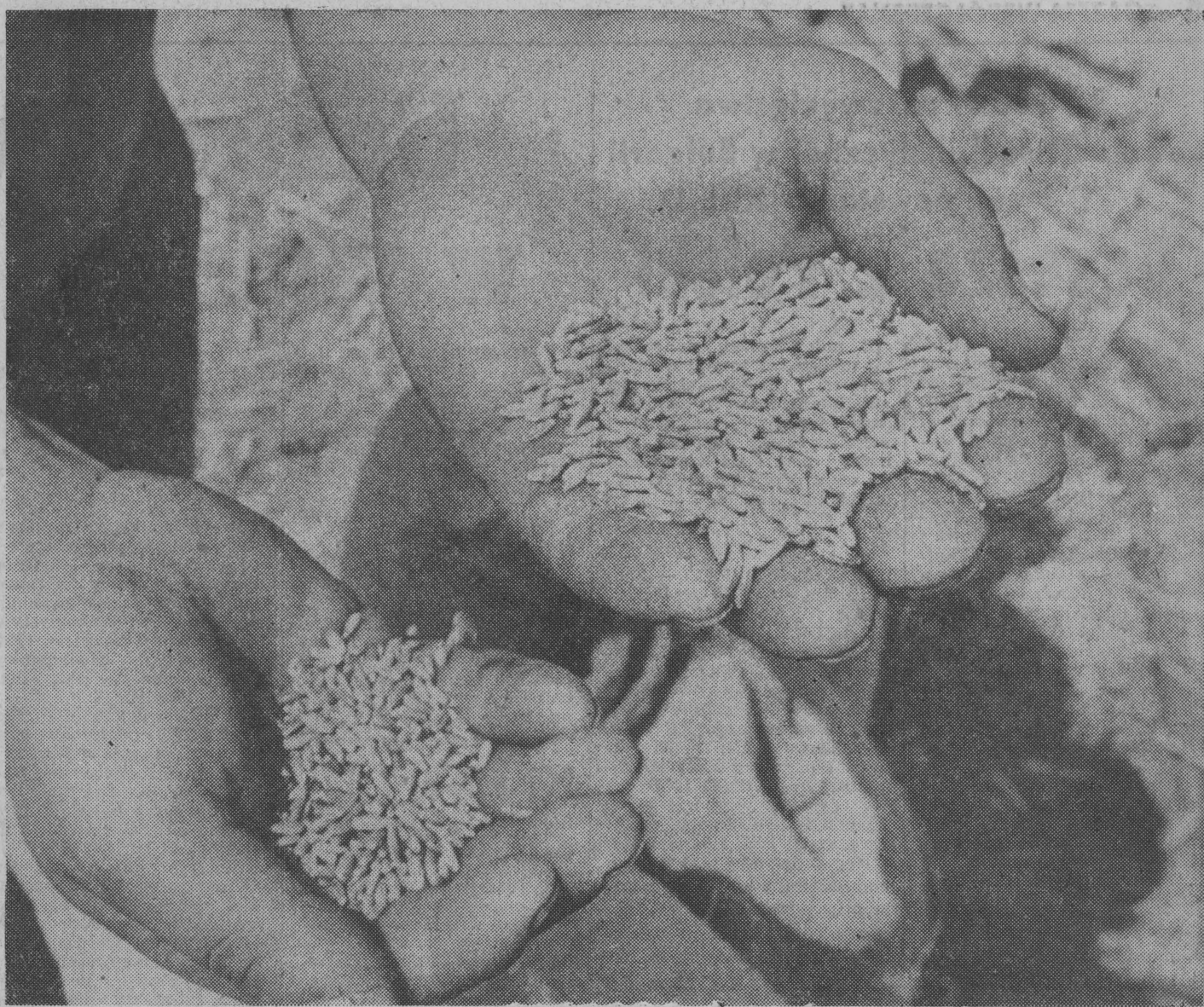
DELHI (PAP) — Minister obrony Indii Jagjivan Ram wydał rozkaz jednostkom armii, aby nie pominąć w akcjach pomocy dla ofiar strasznego powodzi, która mieszczyła lub uszkodziła ponad 600 tysięcy domów mieszkalnych.

Fala powodzi, po najbard-
ziej ulewnych deszczach mon-
sunowych, w końcu zszedła z
brzozy i zaczęła się rozlać na
szlakach dalszych miast. Po
spowodowaniu ogromnych szkód
w Delhi, na początku tygodnia
fala powodzi wylądowała na
dorzeczu w płaskim do Agry —
miasta w połonionych Indiach
znane ze słynnego Tadž Maha-
la. Woda zalała miasto, zalała
z blagiego marmuru, jednego z
najspanialszych zabytków
architektury muzułmańskiej nie
tylko w Indiach, ale i w całym
świecie. Zalane zostały także re-
jony Agry. Zarządzone ewaku-
cja 130 tys. osób. Muzeum
wieloletnich kopalni, w tym
wysokiej kopalni nad Dżamuną
nie grozi niebezpieczeństwo.

Wzbranie wody Gangs
zalały znaczną część świę-
tego miasta Hindusów Va-

wości leżących nad Gangse-
m jest bardzo poważna.
Ganges wystąpił z brzoży
na 480-kilometrowym odcin-
ku od Allahabadu w stanie
Utar Pradesh do Bhağalu-
ru w Biharze. Pod wodą
znalazły się tysiące hekta-
rów pól uprawnych. Poziom
wody wynosi na nich 12 —
1,5 metra. Straty są ogrom-
ne.

Szacuje się, że w wyniku
powodzi, jaka pustoszy o-
becnie północną część Indii,
śmierć poniosło 20 tys. lu-
dzi, uwzględniając 15 tys. o-
fiar w stanie Bengal zacho-
dniej w ubiegłym tygodniu.



ŻNIWA 78

POKŁON dla rolniczego trudu

W minionym tygodniu żniwiarzom udało się „urwać” z deszczowego, tegorocznego lata dwa dni względnej pogody. W środę i czwartek — na początku września nie padało — na polach wyruszyli ludzie, znowu mogli wjechać ciężkimi sprzętami: kombajnami, traktory, ciągniki gąsienicowe.

W czwartek towarzyszyliśmy załodze Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Michałowie, wspomaganą w codziennych pracach polowych przez 50-osobową grupę o-

kostki ciężkie, bo namoknięte, ale „zaprawa” dobra. PIOTR LUB-
NIEWSKI: choć robimy po 12 godzin, to i na zbieranie grzybów czas znajdujemy. Długo przed słońcem rano, zanim zaczęła się praca, nabrałem ze dwa kilo rydzów i prawdziwków.

Na wielkim placu magazynuje się ziarno. Przy rozładunku zboża pracują też kobiety, m.in. IRENA NOWICKA, KRYSZYŃA KAL-WACZYŃSKA, RAISA KAN-
CHOWICZ i LIDIA BARANCZUK.



Mielstwo podrzucił „laską” byłej włókniny słomy, ale grunt to humor. NA ZDJĘCIU: brigada z Fabryki Przędzów i Uchwyty przy żniwach w PGR Michałowie.

Miasto dla wsi i siebie

sób z zakładów przemysłowych Białegostoku.

PGR Michałowie, najmłodsze „dziecko” uspołecznionego rolnictwa, miało w tym roku do zbioru około 1,8 tys. ha zboża. Własnymi siłami sprzątnięto zboża z ponad tysiąca ha. Na zakończenie prac nie starczyło czasu i... ludzkich rąk.

W sukurs żniwiarzom przyszli pracownicy: Fabryki Przędzów i Uchwyty, Przedsiębiorstwa Obrótu Zwierzętami Hodowanymi, Przedsiębiorstwa Transportu Ekspedycji Przemysłu Mięsnego, Zakładu Energetycznego, Zakładu Przemysłu Pasmanteryjnego, Białostockiej Wytwórni Wódek, Zakładów Przemysłu Sklepek i Zakładów Piwowarsko-Słodowniczych w Dojlidach.

Na 70-hektarowym polu dwunastoosobowa brigada z Fabryki Przędzów i Uchwyty dokonuje zbioru słomy jęczmiennej. STASZEK ŻWIRKO — wytaczacz:

Pomaga nam dwóch „chłopów” — mówi LIDIA BARANCZUK, a i tak z trudem dajemy radę. Ciężkie „to”, bo mokre.

Przy suszarni czuwa JOLANTA SZYMANOWSKA i ANNA HILARSKA. — Jest roboty co niemiara — powiadają. Część ludzi „miasotowych”, zwłaszcza mechanicy, zatrudnieni są w warsztatach, bo przy takiej pogodzie, awaryjność maszyn jest znaczna. ALEKSY MATWIEJCZUK — elektryk z Zakładu Energetycznego: — Gdyby tutaj było takie zaopatrzenie w narzędzia i części jak u nas, zepsute maszyny w mig by były szperowane.

Z PGR-u wyjeżdżamy z przekonaniem, że ludzie miasta dobrze wspomagają producentów rolnych w ich staraniach o zbiór każdego kłosa zboża.

(haka)
Fot. Roman Sieńko — CAF



Panie spisuja się nie gorzej od młodszych, a przynajmniej mają takie aspiracje.



Oprócz żniw są też inne pilne prace polowe.



W suszarni roboty co niemiara...

Co piszą inni?

„Słowo cierpienie, nie jest słowem modnym: rzadko się je słyszy i czyta. Przestali się nim posługiwać lekarze, i to nie tylko polscy — pisze na łamach „Argumentów” prof. dr med. TADEUSZ KIELANOWSKI — „Fakt zanikania słowa cierpienie w języku współczesnej medycyny musi mieć jakieś przyczyny i od razu się przysądza, że notują to z pewnym niepokojem. Kojarzy mi się to bowiem z paradoksalnym zjawiskiem spadku autorytetu lekarza i zaufania do sztuki lekarskiej w epoce jej obiektywnych sukcesów i postępów, nazywanych nawet często „tryumfami”. Współczesna medycyna, oparta na racjonalizmie i postępie nauk przyrodniczych zlekceważyła subiektywne przeżycia chorego człowieka. Leczenie jest jednak czymś zgoła innym niż naprawianie zepsutej maszyny.

„O ile intensywne badania nad bólem są w toku niemal we wszystkich krajach, a anestezjologia czyni znakomite postępy w zwalczaniu ostrej bóli i znieczulaniu operacyjnym, o tyle większy od bólu problem całości kształtu cierpienia chorego człowieka nie był dotychczas tematem syntetycznych zainteresowań świata lekarskiego, a czynione przez psychologów klinicznych obserwacje i publikacje — są przez lekarzy mało spostrzegane. Jedynie w dziedzinie walki z cierpieniami terminalnymi, czyli z cierpieniem umierania, uczyniono dzięki lekarzom angielskiej dr Cicely Saunders pewien krok...

Niestety, cierpią wskutek chorób nie tylko ludzie w okresie umierania, ale cierpią czasem całe życie wsku-

tek chorób mało życia zagrażających, w tym chorób nawracających w rodzaju migreny, astmy, epilepsji, choroby wrzodowej żołądka, różnych wrodzonych i nabytych kalek, wreszcie ogromnie rozpowszechnionych nerwów narządowych i psychoneurów. Cierpią i idą szukać pociechy u lekarza. Czy je znajdują?

Lekarze dawnego typu, w tym jeszcze dziewiętnastowieczni, umieli pocieszać, ale było ich mało i byli trudni migreny, astmy, epilepsji, choroby wrzodowej żołądka, różnych wrodzonych i nabytych kalek, wreszcie ogromnie rozpowszechnionych nerwów narządowych i psychoneurów. Cierpią i idą szukać pociechy u lekarza. Czy je znajdują?

Lekarze dawnego typu, w tym jeszcze dziewiętnastowieczni, umieli pocieszać, ale było ich mało i byli trudni migreny, astmy, epilepsji, choroby wrzodowej żołądka, różnych wrodzonych i nabytych kalek, wreszcie ogromnie rozpowszechnionych nerwów narządowych i psychoneurów. Cierpią i idą szukać pociechy u lekarza. Czy je znajdują?

Jeszcze dziś pamięta dramatyczne wezwanie prezydenta Warszawy — Stefana Starzyńskiego. Nikt wtedy nie pozostał na nie obojętny. Mieszkańcy bohatersko bronił stolicy stawali do kopania rowów, budowy barykad, gaszenia pożarów.

O na miała wtedy osiemnaście lat. I gorące, młodzieńcze serce. Polecono jej wyjść na dach, obserwować nadlatujące samoloty z czarnymi krzyżami, informować najbliższą komendę obrony przeciwlotniczej o zbliżających się nalotach.

Na dachach bombardowanych budynków przy ulicy Grottego czuwały dniem i nocą odważne warszawskie dziewczęta. Wiele z nich poległo. Jeszcze dziś pamięta nawoływania koleżanek.

— Władziu, uważaj! Z prawej dwie świece.

Hitlerowscy lotnicy zrzucał masowo na stolicę ładunki spalające. Ogniem chcieli wypalić opór obrońców. I one, obrończynie stolicy, gołymi rękoma zrzucały z dachów na ziemię świece spalające. Ryzykowały życiem.

Później skierowano ją do służby sanitarniej. Nie wiedziała jeszcze, że zwiąże się z nią na całą okupację i później. Opatrywała więc rannych żołnierzy, uciekinierów, cywili. Dzieliła żywność, opiekowała się dziećmi i starcami, często przebywała na pierwszej linii obrony.

Któregoś dnia znalazła się w okopach na Chełmskiej. Gdy rozmawiała z umęczonymi żołnierzami, sportrzyła w ich oczach łzy.

— Co się stało? — pytała z niepokojem.

— Spójrz na Belwederską...

Teraz już wszystko zrozumiała. Od strony Belwederskiej wjeżdżały do stolicy pierwsze kohorty swych cieczoż spód znaku swastyki.

Jadła, dranie, jak na parady.

— Może i tak nie dostanę. Zobaczymy.

W oczach żołnierzy błyskała stanowczość. I chociaż sama pocho-dziła z Kujaw, była teraz pewna, że dzielnych warszawiaków łatwo nie uda się nikomu zniechęcić. Prze-konała się o tym już w kilka dni po kapitulacji. Polecono jej, aby zaopiekowała się rannymi żołnierzami, przebywającymi na leżanku w Szpitalu Ujazdowskim.

Opr. J. Kw.

— Siostrzo, ja chcę dalej walczyć. Wiedziała dobrze, co ranny miał na myśli. Uciekać ze szpitala. Wolność. I one, sanitariuszki, podejmowały się tego niebezpiecznego za-dania. Doskonale wiedziały, co im za to grozi. A jednak dzięki nim wielu żołnierzy uniknęło hitlerowskiej niewoli, zasiliło szeregi Ruchu Oporu.

W konspiracji otrzymywała różne zadania. Pracowała w łączności, sanitariacie, kolportażu. Co było najbardziej niebezpieczne? Wkładanie podziemnych gazet w cholewy niemieckich żołnierzy? Na pewno. Ta młodzieńcza brawura nie mogła skończyć. Przeniesienie meldunków z dzielnicy do dzielnicy? Iść rano cudem uniknąć wpadki.

Ale — powiada Władysława Szymańska — może pan i nie uwierzy, najbardziej bałam się wtedy, gdy musiałam spieszyć z pomocą rodzinom aresztowanych i pomordowanych przez hitlerowców. Ludzie są ludźmi. Z rozpaczy potrafili się załamać. I ja ich, jeszcze teraz, po-miuję. I usprawiedliwiam.

Często rodzice winili ich, konspi-ratorów, za stratę swych dzieci. I

Jak dobrze, gdy z nami jest siostra...

W desperacji gotowi byli nieraz do nieobliczalnych poczyną. Dlatego — wspomina Szymańska — należało często potajemnie, ukradkiem pod-rzucać im paczki, żywność, pieniądze.

— Jak Niewidzialna Ręka... — Można to i tak nazwać.

Pierwszy sierpnia czterdziestego czwartego zastał ją na Placu Narutowicza. Jej oddział dostał zadanie: zdobyć kilka budynków, obsadzo-nych przez Niemców.

Choć powstańcy dzielnie wal-czyli, atak się nie udał. Niemcy wreszcie przyszykowali solidną o-bronę.

Wkrótce musieli wycofać się do Pędzi. Tu jednak zostali rozpoznani i okrażeń. Z boku szła w Ko-morowie artyleria, w powietrzu ciągle krążyły samoloty. O ucieczce nie było mowy. Niemcy wszczęli ostrą obronę. Wiele powstańców zginęło. A one, sanitariuszki, w tym morderczym ogniu zbierały z pola rannych, udzielały im niezbędnej pomocy.

— Było nas trzy. Co stało się z dwiema koleżankami, do dziś nie mam pojęcia.

Otoczyli ich esesmani. Rannych — dobitli. A im, ocalałym, dali do rąk łopaty, kazali kopać sobie groby.

— Ja dla siebie grobu nie wyko-pię. O, nie!

Tak wtedy chyba krzyknął jej serdeczny kolega, Janusz. Uciekli w trójkę. Jeden zginął na miejscu.

Władysława z Januszem, postrzele-ni, wpadli do najbliższego rowu, rowem przedostali się do Lasów Kabackich. Tu zebrało się ich z dwustu. Szybko utworzyli zwarty oddział i po-stanowili przedostać się znowu do walczącej stolicy.

Najpierw próbowali wejść do War-szawy od strony Wilanowa. Ale nie udało się przełamać niemieckiego pierścienia. Ominęli Wilanów, okrę-żoną drogą przeszli na Czerniakowską. I tu musieli bić się o każdy dom, piętro, klatkę schodową. Podobnie na Mokotowie i znowu na Dolnym Czerniakowie.

Ile zginęło w powstańczej War-szawie młodych dziewcząt z czer-wonokrzyżnymi opaskami na ramie-niu? Wiele. Ale przecież zawsze musiały być na pierwszych, najnie-bezpieczniejszych odcinkach walki. Często, nie bacząc na własną kula-szy z pomocą rannym i konającym.

— Myśmy, proszę mi wierzyć, do-dawały chłopcom otuchy.

Opowiada Władysława Szymańska o tym, że powstańcy chętniej szli na wykonanie szczególnie niebezpiecz-nych zadań wtedy, gdy razem z ni-mi udawały się również sanitariusz-ki. Potwierdzają jej słowa inni uc-zestnicy Powstania Warszawskiego, frontowi żołnierze, partyzanci. I ani jeden z nich nie podaje w swych wspomnieniach, że któraś z sani-tariuszek stchórzyła, odmówiła po-mocy.

Gdy powstanie dogorywało, kana-łami z Dolnego Czerniakowa prze-chodzili do śródmieścia. W okoli-cach Dworkowej postanowili wyjść na ulicę. Szła pierwsza. Gdy pod-nieśli wiatr, z góry usłyszeli polską mowę.

— Nasli!

Wyszła z kanału pierwsza. I przerażenie: własowcy. Otoczyli ją wokół, rozerwali kombinizon, za-częli wymyślać. O fatalnej pomyłce dowiedzieli się pozostali w kanale. Na wezwania własowców nie chcie-li wychodzić na powierzchnię. Do kanału posypały się granaty, gany zawiązały.

Przybiegli Niemcy.

— Kto to?

— Polska bandytka.

Oleg dalszy na str. 4

— Mój pierwszy wiersz? Dobrze pamiętam. Zaczęłam pisać, gdy byłam w piątej klasie. Już wtedy zaczęłam obchodzić Dzień Matki, wychowawczynie zachęcała nas do sprawienia mamom niespodzianki. Ja napisałam wiersz. Tak się zaczęło!

Moja matusia była najpiękniejszą w świecie, choć bycie szukała takiej nie znajdziesz.

Moja mama była rzeczywiście piękna, ale nie umiała ani czytać, ani pisać. Dopiero mały po ślubie nauczył ją tej sztuki. Za to ojciec był człowiekiem światłym i jak na owe czasy całkiem wykształconym: ukończył carską szkołę rolniczą.

We wsi nazywano ojca „mędrkiem” albo „filozofem”. Za jego pomysłami, za wprowadzaniem nowości w gospodarstwie. Byłam już sportażem dziewczynką, jak ojciec sadził pierwsze w okolicy buraki pastew-

nictwem Melanii miałam spotkanie z mieszkańcami Moniek.

Częściej niż dla siebie pisałam teksty na występy zespołu naszego koła gospodyń wiejskich. Zespołu — to może za dużo powiedziane, po prostu kobiet z KGW. Zbieramy się i śpiewamy o naszych choroszczańskich sprawach. Od kiedy? Koło powstało przed czterema laty, zaraz po końcu rolniczym, któremu przez jakiś czas nawet przesowaliśmy. Przewodniczącą KGW jestem od początku. Dużo dobrego to koło na wsi zrobiło. Najpierw zaczęłyśmy od kursów pieczenia, gotowania. Tu, u mnie, w letniej kuchni. Zorganizowałyśmy też zespół dziecięcy, potem zaczęły śpiewać gospodynie — i tak występujemy do dziś. Na wszystkich uroczystościach gminnych na Dzień Kobiet, Święto Matki, na dożynkach.

Nie, córka nie oddzieliła się po mnie mojego największego zamiłowania. Występowała od dziecka w zespole, śpiewała. Ale na Dzień Nauczyciela to ja jej wiersz napisałam.

Wiersz jest cały jej życia. Gdy pisała o matce — Polce, miała przed oczami dziewczynę, w którym matka zęgała odchodząc na wojnę dwóch synów i się-

Gdyby tak rodzice miłi budowali kawał woli w jakimś chociaż matym mieście i tysiączków dali z dwiema...

A oto fragment innego utworu z cyklu „Dobre życie w mieście, kiedy na wsi czerstwe tętnie”.

Nie orze, nie sieje do wyszedł już z uprawy, mieszkanie w wieżowcu i miejski ma nawyk.

Nie orze, nie sieje wciąż leży na ojców, powiada, że mu wystarczy światłość w nogi kole

Ale gdy w usta dziewczyny wkłada słowa:

nie chcą harować dzień cały, krów doł do błą ogonem, ni o świecie iść na pole, ani w upał, ani w słońce, gdy ścierałko w nogi kole

to mówi o swojej pracy, o swojej i innych kobiet wiejskich. Nie rozklękając się przy tym.

— Mój ostatni wiersz? Byłam na sesji w Choroszczy, radną wybra-

Pauliny Kondzior życie wierszem opisane

na, sąsiedzi podśmiewali się, co ten mędrak Andruszkiewicz znowu na tych ugorach sieje, ale kiedy buraki obrodziły nad podziw, ogromne, była ich pełna piwnica i z piędzi, a karmione nimi krowy dawały mleka jak u nikogo, przestano dowiekiwać. Wszyscy przychodzili, żeby dostać chociaż parę buraczanych żarnek. Ojciec to przewidział i zostawił trochę buraków na wysadki.

Padł do nowego szaszypu ojciec córce. Bo to Paulina przejęła ostatecznie w gospodarstwie dziedzictwo Andruszkiewiczów. Zrazu przeniosła się na meżowskie sześć hektarów do sąsiedniej Zastawy, ale gdy wojna rozruciła braci po świecie, wróciła na ojcowiznę do Choroszczy. Teraz mieli szesnastce hektarów, odnowili prawie stuletni dom, jeszcze po dziadku, dostawili ganek. I wybudowali nową oborę, nową chlewnię.

Ta ich obora była najnowocześniejsza w okolicy. Pierwszą zasilali kukurydzą i mieli pierwszy silos. Tu odbywały się pokazy sporządzenia kiszzonek dla instruktorów. Zwolniono wycieczki rolników, aby obejrzeć zabudowania gospodarcze Kondziorów.

— Najbardziej lubię pisać w kuchni, kiedy wszyscy już śpią. Mąż, widząc długo w noc światło, podśmiewa się, żona znów w natchnieniu.

Nie, nie poprawiam swoich wierszy, nie wyglądam, nie mam ambicji, aby się ukazywały w książkach. Piszę z serca, tak jak czuję, bez medytowania. Piszę dla siebie. Kocham tę poezję, bez niej nie potrafię żyć. Jest dla mnie wytchnieniem po ciężkiej pracy.

Znam wszystkie swoje wiersze na pamięć. Kiedyś Melania Burzyńska pyta mnie, jak ja to robię, że tak pamiętam? Mnie łatwiej, nie piszę tyle co ona, ale też i nie poświęcam pisanu tyle czasu. Za pośred-

nia, męża Pauliny. W innym, poświęconym nauczycielom, pobrażeniwa niespełniona tęsknota za nauką; ukończyła tylko siedem klas, o dalszych nawet myśleć nie mogła. Tu, u mnie, w letniej kuchni. Zorganizowałyśmy też zespół dziecięcy, potem zaczęły śpiewać gospodynie — i tak występujemy do dziś. Na wszystkich uroczystościach gminnych na Dzień Kobiet, Święto Matki, na dożynkach.

Cale życie spędziła wśród przyrody. Jej stuletni dom tonie po prostu w zieleni i jakże malutki jest u stóp ogromnych klonów. Z jednym z nich Paulina rosła, inne, od kad tylko pamięta, były wielkie. Przypada jest też bohaterem wierszy, tych, które pisze dla siebie, kiedy ją duszność jakaś nachodzi. A gdy przyszła okupacja, posmakowała nauczycielskiego fachu, uczyla dzieci polskiej mowy.

Ziemia mych ojców żyzna w słońcu wiosennym skąpna. Radosna pląsków święgotem. Szczęśliwa dzieci śpiewem, mława kwitnąca za plotem i wiatru ciepłego powiewem.

Kocham Cię szczerze, gorąco, gdy parzy letnie południe, a cała jesteś pachnąca, kłosa zioła przesuńcie.

Nie obce jest jej satyryczne spojrzenie na sprawy wiejskie. Napisała kiedyś wiersz o marzeniach dziewcząt i chłopców z czasów swej młodości. Miał takie motto:

Gdyby mi tak los w nagrodę chociaż chłopką dał zagrodę, chociaż skromną dat.

I dopisała do niego ciąg dalszy, gdy dorosła już jej córka.

Gdyby mi tak los w nagrodę dał samochód, na zagrodę, o! samochód piękny dał.

nie mnie już po raz drugi. O czym wszyscy dyskutowali? O żniwach oczywiście. I huzia na dyrektora SKR, że usługi nie wykonana, że to, że tamto. Zdegenerowałam się, mówię, ludzie opamiętajcie się, co prawda, to prawda, ale tym razem deszcz winien, kombajny mokrego zboża nie biorą, spowolniałki się psują. To co, dyrektor ma się rozzerwać na te części do spowolniałki co ich brak? My też z mężem, choć na siódmy krzyż nam idzie, kosiłmy kosami półtora hektara żyta.

I z tego koszenia powstała jeszcze jedna zwrotka do naszego nowego programu w kole gospodyń.

ANIELA ŁABANOW



Krótką słoneczną pauzę w chłodnym i deszczowym dniu zgromadziła przy grobie rodzinnym garstke przyjaźni, trochę oficjalnej. Położono kwiaty i rozchodzono się w milczeniu. Uczczono pamięć człowieka, spoczywającego od 13 lat na skraju puszczy, który przez ostatnie czterdzieście lat swego życia był najpopularniejszym obywatelem Hajnowki. Urodził się sto lat temu (w majątku ziemskim w Siedleckim) i to tłumaczyło niedzielne spotkanie przy grobie, szkodnym tylko w skromną tablicę „Tadeusza Rakowieckiego 1887—1965. Lekarz — astronom. Non omnis moriar”. Zapewne.

Pani Pelagia Rakowiecka w znakomitej formie, z nieporównanym urokiem pełni obowiązki pani domu. To dom niezwykły, standardowe M-4 na nowym osiedlu z trudem mieści obfite pozostałości po przodkach. Rodzina meza — ziemianie i intelektualiści milowali wszystko, co ładne i piękne. Wiele obfitych dawnych bibliotek reprezentują dotąd wydania klasyczne i historyczne, malarstwo — obrazy i sztychy XIX-wieczne, porcelana i szkło — wytwory pierwszych polskich zakładów, meble — oryginalne angielskie chippendale z XVIII wieku, świetnie zachowane. Trzeba było zdecydować się na eliminację, sprzedaż, darowiznę, gdy po śmierci meza opuszczała samodzielny domek, choć podniszczony, ale domyślnie się można, że malowniczo.

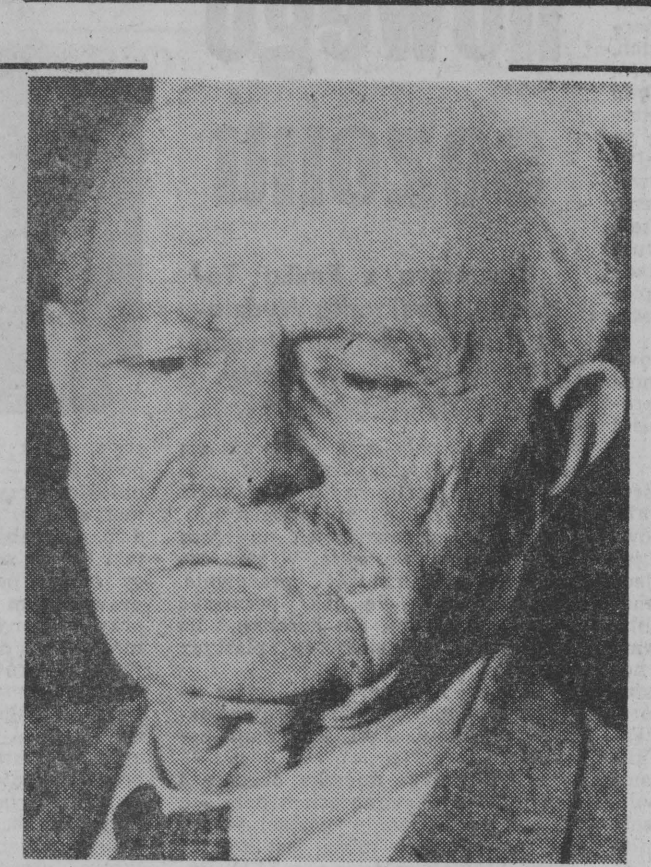
Na powrót czyta dziś Boya, bo to uspokaja nerwy, a we wspomnieniach sama chce być nieobecna, bo była „tylko żoną”. Doktorowi Rakowieckiemu towarzyszyła w jego odesłach po krawcach wschodniej Polski. I tylko z uśmiechem wspomni, że kiedyś miała wraz z mężem podróżywać do Paryża, ale dla dwójki nie wystarczało funduszy. Mąż-społecznik, na końcu myślał o honorariach za praktykę lekarską, pieniądze za większe dzieła astronomiczne oczywiście przeznaczał na cele społeczne, a zamiast ekonomia rodzinna w tych wolnych chwilach, które tylko on umiał jeszcze znaleźć, zajmował się literaturą. Nie publikował już wprawdzie po serii swych studiów o Zeromskim (1908—1912), ale do końca był najwierniejszym przyjacielem literatury.

Wychowanek klasycznego warszawskiego gimnazjum, a później absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego (1903) posiadał dziś już niepojętą znajomość greki i łaciny, więc swobodnie poruszał się w regionach literatury klasycznych. Wyjechał do Paryża na spacer z Owidiuszem, którego cytował i deklamował obszernymi ustępami, pozostało do końca sympatycznym obywatelem. Schiller, Goethe, Słowacki, Mickiewicz, a później Zeromski — należeli do najulubieńszych autorów.

Z warszawskich czasów, które skończyły się wraz z pierwszą wojną światową, pozostały wspomnienia muzycznych i teatralnych wieczorów. Chopin — umiłowanie maniackalne, w teatrze zaś oglądało się tylko arcydzieła.

Najdłuższą niewątpliwie peryfrazą doktora — to Mandzuria — jako lekarz został bowiem wysłany na wojnę rosyjsko — japońską, później już była tylko Europa, a najchętniej Polska — i to

Na spacer z Owidiuszem



w takiej miejscowości, gdzie schronienia nie szukają raczej osobowości nietuzinkowe i wybitne. Wiele po zamieszaniu, gdzie był ordynatorem w Szpitalu Jana Bożego, zdecydowano się obrać Lublin na siedzibę (do 1921 r.), a następnie krótko Łuków, gdzie kierował szpitalem. W Hajnowce państwo Rakowieccy osiedli w 1925 r. i zostali tu mieli na zawsze.

Oczywiście dr Rakowiecki nie dopuścił myśl, że może porzucić terenową pracę i przenieść się do Warszawy, gdzie czekały honory, zaszczyty i dostatki oferowane przez przedstawicielstwo Fundacji Rockefellera na Polskę. Dr Rakowiecki według tej propozycji miał być odpowiedzialny za unowocześnianie naukowych wydawnictw tej Fundacji w Polsce.

Z imieniem doktora wiązała się cała historia hajnowskiej i okolicznej (Świętokrzyskiej, Bielskiej Podlaskiej) służby zdrowia. Przez kilka lat był jedynym lekarzem w okolicy, zawsze do dyspozycji pacjentów, nigdy nie pytał o wynagrodzenie. Spełniał różne powinności lekarskie, przyjmując bądź odwiedzając bryczką i po 70 chorych dziennie. Nie należał do rzadkości wyprawy per pedes aż do Białowieży w głębokim śniegu, gdy tylko była potrzeba, zwłaszcza w okresie okupacji, pamiętnej w rodzinie ze skrajnego niedostatku.

Anty jeden śmiertelny wypadek przy porodzie nie miał miejsca przez całą, długą praktykę lekarską. Wznosił obiekty, administrował. Słusznie więc przed kilku laty hajnowska przychodnia otrzymała imię

dr Rakowieckiego. A pani Pelagia Rakowiecka ciągle się dziwi, skąd tyle serdeczności i sympatii okazywanej jej w Hajnowce na każdym kroku

Jako dopiero co dyplomowany lekarz w 1903 r., przechodząc ul. Świętokrzyską, w antykwaracie zobaczył „Kosmografię” Jędrzejewicza. Jej autor był też lekarzem, który zainteresował się niebodem. Książka ta przesadziła o wieloletniej owocnej pracy dr Rakowieckiego w dziedzinie astronomii.

Został uznany po latach za jednego z siedmiu najwybitniejszych polskich astronomów lat międzywojennych. Niezwykła elegancja i precyzja charakteryzują jego astronomiczne opracowania; specjalizował się w astronomii klasycznej przede wszystkim w mechanice nieba. Z dała do centrów akademickich, z którymi podtrzymywał listowny kontakt, uzbudowany tylko w papier i pióro — penetrule nader, bo i to w chwilach wolnych od pracy lekarskiej, która we wspomnieniach żony nigdy nie miała końca. Albo lepiej powiedzieć, że astronomia była wypracowaniem po medycynie, a medycyna po astronomii!

Już w 1914 r. po samodzielnych obliczeniach kilku orbit ciał niebieskich — pisze monografię „Drogi planet i komet”. Dwa tomy publikuje dopiero w 1928—1932 roku. Fundamentalny podręcznik zachowuje aktualność do lat siedemdziesiątych.

Z Centrum Obliczeniowego PAN przed kilku laty nadszedł

list do Hajnowki „Prażne Pania zapewni, że prace dotyczące komety Sperra, jak i inne związane z orbitalnymi zagadnieniami mechaniki nieba, stanowią też w dobie elektronicznej techniki obliczeniowej głębokie i cenne źródło informacji, problemów, rozważań. Co więcej, inspirowała dalsze badania, czego dowodem może być opracowanie i dyskusje nad ruchem tej komety oparte na obliczeniach wykonanych przy użyciu maszyn elektronicznych, którymi doktor Rakowiecki jeszcze nie dysponował”.

W r. 1930 dyrektor Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Tadeusz Banachiewicz występuje z propozycją objęcia przez dr. Rakowieckiego katedry astronomii na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Jak zawsze skromny, decyduje się na pozostanie w Hajnowce. W dziedzinie astrofizyki jego zainteresowania obejmowały tylko fizykę gwiazd podwójnych, zaćmieniowych, spektroskopowych; surowo oceniał swoje braki, nie nadawał bowiem za rozwijającą się astronomią „gwiazdową, za rodzajem się wiedzy astronomii pozagalaktyczną. Nado wysoce sobie ceniący niezależność, obawiał się nie tyle obowiązków, co rutynę akademickiej.

Z Hajnowki nadal więc stał w świat swe prace, publikując je w języku polskim i francuskim, jako astronom amator. Wydrukował ich 24. Został członkiem towarzystwa astronomicznego Polskiej i Francji. Przed śmiercią za sprawą starą ówczesnych władz PTA otrzymał emeryturę dla zasłużonych w wysokości zbliżonej do emerytury profesorskiej. Prof. Włodzimierz Zon pisał w ówczesnym „Zesz. etatu i pędzi” przez co najmniej 10 lat pracował na polu astronomii, po prostu tak twórczo jak samodzielny pracownik naukowy!

— Już ciężko chory interesował się losom swych ostatnich astronomicznych prac, pozostających w rękopisie. Zostały więc zgodnie z wolą autora zapakowane i wysłane do Krakowa, po czym ślad zaginął. Podobno jakieś fragmenty znajdują się obecnie w Warszawie, ale nikt nie dokładnie nie wie. Dr Rakowiecki, co wynika z obfitej, bardzo pieczołowicie przechowywanej korespondencji, nie rzadko spotykał się z utrudnieniami, zwanymi brakiem papieru.

Te same kłopoty stoją podobno na przeszkodzie w wydaniu biografii dr. Rakowieckiego, którą przygotowuje jeden z lekarzy białostockich. Region nasz nie jest aż tak bogaty w ewenementy klasy dr. Rakowieckiego, a nie sposób wyobrazić sobie, by trud edytorskich przedsięwzięć mógł odnieść sukces. Tożarstwo Przyjaciół Hajnowki czy miejscowa biblioteka, najdelikatniej obchodząca się ze spuścizną, która nie stanowi zresztą jej własności.

Trzynastce lat minęło od śmierci najpopularniejszego lekarza, jaki kiedykolwiek pracował w Hajnowce. Jest bardzo świeży obecny w pamięci mieszkańców — urocy pan, skromny i zakłopotany, wspaniały rozmówca, niezmordowany spacerowicz i rozmiłowany przyrodnik. Nieporównanie tańczył walca. Kochał zwierzęta. O tym wiedzą wszyscy ci, co go znali. Inni mają prawo doświadczyć za pośrednictwem autora biografii, kto ma obowiązek ją wydać?

DANUTA GUDEBSKA

— Sznu już fik? (co ci dolega?) — pytam siedzącego przede mną arabskiego pacjenta. Z potoku słów wyrzucanych szybko przez wyraźnie cierpiącego starszego mężczyznę, staram się wyłowić znane mi już wyrazy. Chory zachowuje się teatralnie, żywo gestykuluje, chwytając się za okolicę łędziową i przesuwając rękę wzdłuż tylniej powierzchni lewej nogi. Powtarza przy tym kilkakrotnie „dahar juża”, „dahar juża”. Oddycham z ulgą. W tym przypadku rozpoznanie nie budzi wątpliwości — rwa kulszowa.

Polecam jednak rozbebrać się choremu, chcę go zbadać dokładnie. Pacjent niechętnie zdejmując ubranie. Mimo 40-stopniowego upału ma na sobie grube palto, pod nim jakiś serdak, a dwie koszule. Rzucam okiem na odsłoniętą okolicę łędziową i, debiele. Po obu stronach kręgosłupa widzę głębokie, ropiejące nacięcia, z których wystaje brudny, konopny sznurek, przerobiony w tkance podskórnej i zawiązany na solidny węzeł.

— Co to ma znaczyć? — pytam.

— Marabut — pada krótka tym razem odpowiedź.

A więc i ja mam możliwość zobaczyć na własne oczy skutki „terapeutycznej” działalności tych legendarnych, ascezyzujących pustelników, zajmujących się uzdrawianiem, wróżbą i modlitwą. Tutejsza ludność uważa marabutów za osoby święte, a ponieważ wiara muzułmańska mówi, że wiedza medyczna pochodzi od Allaha, więc u nich szuka rady i pomocy, gdy uzna, że choroba została została wolą Allaha. Nie wszystkie na szczęście schorzenia noszą piętno boskie. Część z nich, według roszczeń panujących opinii, ma pochodzenie ziem-

Korespondencja
własna z Libii

wej. Wypisuję mu leki, zalecam oszczędzanie chorej kończyny, a miejscowo aplikuję naświetlanie mikrofalami. Podczas zabiegu chorey kręci się niecierpliwie, co pewien czas dotyka palcami bolesnej okolicy, a po pięciu minutach przychodzi do mnie z pretensją, że ból nie zmniejsza się. Tłumaczę mu, że poprawa nastąpi dopiero po kilku dniach, jeśli oczywiście zastosuje się do moich zaleceń. Nie trafla mu to jednak do przekonania i wyraźnie zdegenerowany wybiega z gabinetu. Wraca po pewnym czasie z dr. Dufanem — dyrektorem szpitala, która-

mu skarży się na nieskuteczność mojego leczenia. Dyrektor jest zdegenerowany, więc wyjaśniam mu, o co chodzi. Ten z kolei tłumaczy coś pacjentowi, który uspokaja się i

wraca na zabieg. Ale nie na długo. Po krótkiej chwili, zniercierpliwiony brakiem natychmiastowej poprawy, opuszcza gabinet, trzaskając drzwiami. Więcej go nie widziałem. Być może marabut zajął się jego leczeniem.

Coraz mniej jest jednak w Zilten takich chorych, którzy najpierw udają się do marabuta ze swoimi dolegliwościami, a dopiero później, gdy świątobliwy ma już bardzo potrafił pomóc, przychodzi do lekarza. Wprawdzie jeszcze dość często spotykamy u naszych pacjentów rozległe blizny po „leczniczych” przypa-

laniach. Liczne drobne nacięcia na główkach chorych dzieci, które starano się w ten sposób leczyć, czy też przypadki tęczy u noworodków, powstałe w następstwie zasypywania piaskiem pipowiny po porodzie, ale coraz więcej danych wskazuje na to, że współczesna medycyna zaczyna być bardziej ceniona przez tutejszą ludność, niż tradycyjne metody leczenia.

W Zilten i okolicy nie świątobliwy marabut, a „doctor bolanda” (polski lekarz) jest tym człowiekiem, do którego cierpiący swracają się po poradę i pomoc. Po okresie nieufności, spowodowanej trudnościami w porozumieniu się, opinią urobiałą nam przez odchodzących lekarzy pakistańskich oraz pewną rezerwą, którą rodzi zwykle jakaś nowość, „doctor bolanda” został całkowicie zaakceptowany przez miejscowe społeczeństwo. Cieszymy się z tego, gdyż umożliwiła to nam wprowadzenie nowoczesnych metod terapeutycznych, wytworzenie właściwych nawyków higienicznych i przede wszystkim czujemy się tutaj i — trzeźni, a to jest bardzo ważne odczucie.

zobaczyć, jak pracuje „doctor bolanda”, lub po prostu nie ma lepszego miejsca do odwiedzenia, ale tym niemniej zabierają oni również dużo czasu, a niekiedy są bardziej kłopotliwi od chorych.

Stopniowo nauczyliśmy się na tyle języka arabskiego, aby porozumieć się z pacjentami. przyzwyczailiśmy się do gorącego klimatu, do niepowtarzalnej egzotyki arabskiego kraju, do panujących tu zwyczajów, chociaż niektóre z nich wprawiają nas co pewien czas w zdumienie. Ot, chociażby to zwyczaj, którego świadkiem był docent Klepacki.

Któręś dnia został on poproszony na wizytę domową do chorej kobiety. Pod oknem pokoju dość poważnie cierpiącej pacjentki zastał wesoło uśmiechniętą, liczącą kompanię mężczyzn. Gdy zdziwiony zapytał, co za uroczystość odbywała się na zewnątrz domu, otrzymał od gospodarza następującą odpowiedź:

— Widzisz doktorze, moja żona jest ciężko chora, a ja bardzo martwię się tym. Moi sąsiedzi i przyjaciele przyszli więc, aby mnie pocieszyć i ułatwić mi cierpienie.

Nie tylko my uczymy się języka arabskiego, również miejscowa ludność przyswaja sobie polską mowę. Coraz częściej na ulicach Zilten, a miast arabskiego podwójnego „kefalki doctor”, można usłyszeć wymawiane nienaganie polszczyzną przez arabskiego przechoźnia — „jak się masz doktorze”, lub po prostu „dzień dobry”. Niektórzy kupcy, w trosce o swoje interesy, nauczyli się polskich nazw sprzedawanych przez siebie towarów, w polskim języku podają ich cenę, po polsku zachwalają ich jakość.

Polska grupa wtopiła się już w tutejszą międzynarodową społeczność i pełniąc w niej niebagatelną rolę zdobywa sobie uznanie, zarówno u miejscowych władz, jak i u zwykłych mieszkańców. I już teraz, co bardziej zapobiegliwi obywatele miasta, troszcząc się o przyszłość zilskiej służby zdrowia, proponują policji, aby ta przed zakończeniem naszego kontraktu aresztowała całą polską ekipę, zapewniając w ten sposób na dalsze lata opiekę zdrowotną dla tutejszej ludności.

JERZY SAMUSIK



Na zajęciu: „Polski szpital” w Zilten.

— Przez wiele lat kierowała Pani upowszechnianiem kultury w Piotrkowie Trybunalskim, od dwóch miesięcy natomiast — w województwie łomżyńskim. Stawia to okazję do porównań, jako że obydwa miasta są w znacznym stopniu podobne, choćby z racji wielkości i awansu administracyjnego przed trzema laty.

— Nie znam jeszcze województwa łomżyńskiego tak, jak znam Piotrków. Nie znaczy to, że nie staram się jak najżywiej wniknąć w podziałowe problemy, bo inaczej nie mogłabym pracować. We wrześniu i październiku przygotujemy wy-czerpującą ocenę stanu kultury w województwie, przedstawimy ją później Egzekutywie KW.

— Czy Łomża, a może i województwo jako całość — sąsiedzi-ja. Pani zdaniem, swoją odrębność? — Jest wiele osób bardzo odda-nych realizacji programu rozwoju kultury. Korzystają oni z poparcia i pomocy władz wojewódzkich, a także naczelników miast i gmin. Odrębność? Województwo dorobiło się kilku znaczących imprez, które gdzie indziej nie ma. Myślę tu o Świecie Kultury Staropolskiej i symposiumie pisarzy, o Agrofilmowej Wiosnie w Ciechanowcu, plenerze ceramiki w Sokolach. Wiele zespołów amatorskich prezentuje wysoki poziom; niech o tym świad-czą choćby pierwsze miejsce spie-waków z Nowogrodu na tegorocz-ny ogólnopolski przegląd w Kazimierzu. Przed pół rokiem powstał zespół pieśni i tańca „Łom-ża”, który opracował już kilka pro-gramów, ponadto chór nauuczelski rokuje wielkie nadzieje.

— A jakie wartości wnoszą śro-dowiska artystów profesjonalnych? — Kulturowo tworzą głównie zawodowcy. Nie zaniedbując ruchu amatorskiego stawiamy jed-nocześnie na artystów z diploma-mi, dorobkiem, którzy mogliby środowisku przekazać pewne war-tości z pierwowzoru, zaszczytne na-wo idea, wychowywać przez sztukę. Mammy Orkiestr Kameralną, której chcemy stworzyć warunki do ciąg-łego doskonalenia poziomu. Za kilka dni otwiera zostanie w Łom-ży szkoła muzyczna I i II stopnia. Będzie to miało wielkie znaczenie jako szansa dla uzdolnionej mło-dzieży, a także przyczyni się do podniesienia poziomu kultury mu-zycznej w województwie.

— Jak widzi Pani rolę plastyków — najliczniejszej grupy twórczej w województwie? — W końcu sierpnia otwary został salon BWA w zaadaptowanym budynku. Warunki są dość skrom-ne, ale jest to już druga — po uru-chomionych niedawno PSP — gale-ria w Łomży. Pozwoli to jeszcze w bieżącym roku zorganizować pierw-szą dużą wystawę, która odzwier-ciedlałaby dorobek całego środowi-ska. Najlepsze spośród prezentowa-nych prac zostaną nagrodzone. Po-

U progu nowego sezonu

Rozmowa z Emilią To-meczką, dyrektorką Wydzia-łu Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Łomży.

nado przez cały czas odbywają się wystawy indywidualne i zbiorowe, plastycy uczestniczą w plenerach, spotykają się ze społeczeństwem. Chcemy im zapewnić jak najlepsze warunki do tworzenia. W tym ce-lu będziemy urzędować pracownie. Zastanawiamy się, jak poszerzyć formy prezentacji ich dorobku, bo ludzie chcą wiedzieć, co plastycy tworzą.

— Sporo kontrowersji budzi e-studowanie się w Łomży i wojewódz-twie literatury. Jaki jest Pani po-gląd? — W Łomży mieszka obecnie 4 członków ZLP oraz osiem dalszych osób z dorobkiem w postaci jedne-go tomiku. Być może jest to za-lążek przyszłego oddziału ZLP. Po-za tym prowadzone są roboty kon-servatorskie w dworcu w Droz-

stwie (okalającym go parku), który ma być w przyszłości dom-em pracy twórczej pisarzy. Obec-nie rozpoczęto przygotowania do planowanej na wiosnę przyszłego roku sesji popularnonaukowej „Ziemia Łomżyńska we współczesnej li-teraturze”, jak również do zorgani-zowania konkursu literackiego.

— Czy w Łomży potrzebny jest teatr profesjonalny? — Nie możemy działać w oder-waniu od polityki kulturalnej pa-



stwa, toteż nie mamy nadziei na powstanie — przynajmniej w nie-dalekiej przyszłości — teatru dra-matycznego. Musimy jednak śle-dzić potrzeby społeczne i działać tak, by je zaspokoić — a łomżyń-scy czują potrzebę obcowania z prawdziwym teatrem, z fachowo przygotowanymi spektaklami, z ak-torami o dużych umiejętnościach. Wiele teatrów chętnie nawiązałyby współpracę z naszym województ-wem, musimy jednak ograniczyć się do scen objazdowych, oferują-cych przedstawienia, które można prezentować w sali WDK, z małe-ną sceną, bez żadnego właściwie wyposażenia. Gdybyśmy dyspo-owali obiektem z dużą salą widowi-skową, pracownikami, salonom wy-stawowym, wiele spraw byłoby pro-szszych... Adaptacje budynków, lic-

ne w ostatnim czasie, bo trzeba tu również wspomnieć o tzw. „Dom-ku Pastora”, który we wrześniu przejmie Muzeum Okręgowe, a tak-że o projekcie uruchomienia w Łom-ży klubu MPiK — zaspokajają po-trzeby najbliższe.

— Podsumowując — który prob-lem wydaje się Pani najtrudniej-szy? — Wiele jest spraw nielatwych, co nie znaczy, że nie można ich — w krótszym czy dłuższym okresie czasu — rozwiązać. Czynniki rzu-tującymi na całokształt działalności kulturalnej w województwie, na stopień zaspokojenia potrzeb spo-łeczności — są przede wszystkim stan bazy materialnej oraz liczeb-ność i przygotowanie kadry. Na 40 gmin mamy jak na razie 7 Miejsko-Gminnych Ośrodków Kultury i 17 gminnych; w pozostałych, gdzie nie ma skromnych choćby warunków, działają jedynie społecznicy — gminni dyrektorzy kultury. Dlatego cenimy każdą inicjatywę społecz-ną, bezinteresowną, a wielce w śro-dowisku pożyteczną działalność członków towarzystw regionalnych, nauczycieli, lekarzy, młodych rolni-ków. Oni wypełniają pustkę, zasze-piają nowe zainteresowania, budzą wyższe potrzeby. W roku bieżącym ma być oddany do użytku GOK w Bogutach — Plankach, którego budo-wę zapoczątkowali sami mieszkańcy w czynnie społeczny. Z myślą o do-stosowaniu kadry do rosnących po-trzeb otwieramy w Łomży ośrodek dydaktyczny, podległy warszawskie-mu Studium Kultury i Oświaty Do-rośli. Będzie się w nim kształciło około 25 osób, co w sytuacji woje-wództwa nie jest bagatelą. Baza i kadra to jednak nie wszystko, liczy się gotowość na przyjęcie każdej pożytecznej inicjatywy, otwartość, chęć działania. Można by to udo-wodnić na przykładzie Towarzystwa Naukowego im. Wągów, czy stowa-rzyszeń skupiających miłośników poszczególnych miasteczek i gmin, choćby Ciechanowca.

— Dziękuję za rozmowę i życzę rychłego doktoratu na temat kultu-ry filmowej, Piotrkowa.

— Nie, teraz już Łomży. Zmieni-łam temat, więc potrwa to dłużej.

Rozmawiał: JAN KWASOWSKI
Fot. Gabor Lorinczy

APELE

Zarząd Krakowskiego Oddziału Towarzystwa O-pieki nad Majdankiem zwraca się do wszystkich plastyków — amatorów o wykonanie i ofiarowanie chociażby jednego plaka-tu, związanego tematycz-nie ze zbliżającą się 35 ro-cznicą oswobodzenia byłe-go obozu śmierci pod Lu-blinem. Nadesłane prace zostaną wydrukowane w specjalnym katalogu, a także pokazane na wysta-wie w Miesiącu Pamięci Narodowej — w kwietniu przyszłego roku — w Krakowie. Za najlep-sze plakaty przewiduje się nagrody rzeczowe. Prace przesyłać należy do końca października br. pod adre-sem: Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych, ul. Młaskotów 6, 30-117 Kra-ków.

Wrocławskie Muzeum Sztu-ki Medalskiej — jedyna w kraju tego rodzaju placówka, specjalizująca się wyłącznie w gromadzeniu i organizowa-niu wystaw z zakresu meda-listwa dawnego i współczes-nego — zwraca się z apelem o darowizny: medali polskich i obcych, odznaczonych, ich modeli oraz projektów, materiałów dotyczących histo-rii zakładów odlewniczych i grawerskich, dyplomów i le-gitymacji, regulaminów i sta-tutów odznaczonych, a także książek, czasopism, druków u-łownych i starych wyników prasowych dotyczących meda-listwa i numizmatyki. W przyszłym roku Muzeum zorga-nizuje wystawę otrzyma-nych darów. Nazwiska ofiaro-wawców wydrukowane zostaną w katalogu. Adres: Muzeum Sztuki Medalskiej, 50-106 Wrocław, Rynek — Ratusz. (jot)

Malowanie

„...żeby móc przemówić do ludu, trzeba być bli-sko ludu”.

Fernand Léger

W Szeptemowie zakończył się przed tygodniem pierwszy plener malar-ski pod zmodernizowanym nieco hasłem „Sojusz rolni-czego świata pracy z kulta-rą i sztuką”. Fundatorem i organizatorem pleneru był, przy współpracy Zarządu Okręgu ZPAW w Białymstoku, Wojewódzki Ośrodek Postę-pu Rolniczego w Szeptem-owie, który też rzecz całą wy-myślił. Przybyło dziesięciu artystów z Krakowa, War-szawy i Białegostoku. Oba-raz jak na trzytygodniowy okres realizacji powstało bardzo wiele, coś z pięć-dziesiąt. Malarze pracowali więc wydajnie, było się bez hucznego życia towarzyskie-go, tak powszechnego na ple-narach. Poza oceną ilości-o-wą postaram się unikać war-tościowości powstałych w Szeptemowie obrazów.

MECENAS
PEŁEN CHĘCI

Nie masz już w świecie ta-kich mecenasów, którzy by niczego od swoich pupilów nie chcieli, a zgłaszali jed-ynie pobożne chęci. Organi-zatorzy, ściśle dyrektorzy WOPR — Jan Holownia i Kazimierz Godlewski dopro-wadzili do pleneru głównie z dwóch powodów. Parafra-zując dyrektora Holownię: idzie już nie tylko o produ-kt, ale i o kulturę, produ-kt, czas na pokazywanie piękna codzienności wokół nas, a potrafia to tylko ar-tyści. Drugi powód przynaj-mniej decydujący — fundusz socjalny Ośrodka pozosta-wał nie wykorzystany. Samo-rząd rolniczy sprawa za-akceptował, ostatecznie przy systemie gospodarczym ple-ner kosztował kilkadziesiąt tysięcy złotych, a splendor nie miał.

Organizatorzy wywiali się ze swych zobowiązań bez zarzutu.

Teraz o ich życzeniach. Chcieli, żeby artyści poka-zali kontrasty rolnictwa lat siedemdziesiątych, nie tylko wspomnienie „Bizonu”, ale też realne ładowanie obornika, robotników rolnych, ich pra-cę i trud, ziemię, na której pracują. Miała więc powstać swoista dokumentacja pra-cy WOPR, bo ludziom be-dzie kiedyś przyjemnie to oglądać.

Na ile te sugestie malar-ze zrealizowali? Wypadło różnie. Przecież nikt nikogo do tematu nie przymuszał i nikt też za abstrakcje się nie obraził. Najbliżej rzeczy-wistości dotarli pejzażyści, najdalej odeszli malujący wspomniane abstrakcje i pa-ni Baracz — portrecistka z Warszawy (dyrektor God-lewski w wielkim zakłopotaniu zastanawiał się, czy kupić swój portret). Pra-cownicy WOPR, zwiędzający poplenerowy wernisaż z przejęciem doszukiwali się na obrazach elementów sze-ptemowskiej rzeczywistości (ta brama niby podobna, ale ba-ran zupełnie nie), a już nie-małą konfuzję budziły błędy merytoryczne („Bizon” kosi z podniesionym przyrza-dem tnącym, o retę?); w su-

mie wszystko chwalono. Piękna metafora plenero-wego hasła były „traktory bojowe”, namalowane przez komisarza pleneru, Renate Grabarz z Białegostoku. Naj-ważniejsze, że impreza była udana, o obrazach mówić się już mniej.

ZOBACZYĆ KROWĘ

Zresztą nikomu nie cho-dziło o dosłowną realizację hasłowego sloganu. Czasu bratania ludzi pracy z arty-stami chyba minęły. Owszem, odbył się wieczorek zapoz-nawczy malarzy z pracow-nikami Ośrodka, miał on jed-nak przełamać początkowe lody, na które ci pierwsi się uskarżali.

„Być blisko ludu” nie jest prosto. Albo trzeba, jak Lé-ger w I wojnie światowej wspólnie z nim walczyć, albo wspólnie pracować. Wier-malarze zwiędzali co się da-ło, towarzyszyli robotnikom rolnym w pracy, ba, jedździ-li na kombajnach. Zdziwiłem się kilkakrotnie, gdy opowia-dali później o swych wraże-niach.

Pewna malarzka przyma-ła, że po raz pierwszy widziała krowę z bliska. Przeto teo-rozrocznie jej malowanie to ty-lko próba. Być może przekazał przez te krowy (czyli też powstał obraz), musi jesz-cze poświęcić.

Wszyscy artyści mieli przed wyjściem na plener bardzo ważne wyobrażenia o pracy na wsi, o wielkich problemach i stylu życia. Jakby wychowywali się na innej planecie. Na Akademii nie ma czasu na zajmowanie się życiem, trzeba ćwiczyć — można to i tak tłumaczyć. Ale co ci malarze robili po jej ukończeniu? Co malowa-li? O czym mówili poprzez swe obrazy?

Głęboka nieznajomość pol-skiej codzienności przez ar-tystów budzi moje zdziwie-nie najwyższe.

Ładnie powiedział młody malarz Sobociński, że taka plenerowa inspiracja jest mu niezwykle potrzebna.

CHOCYBY DLATEGO

plener w Szeptemowie war-to kontynuować, tym bar-dziej że WOPR ma pieni-a-dze i wolną w tym okresie bazę noclegową — żywioło-wa. Plener wyrwa też ma-larzy z ich zaciszy, ale wyjątkowych z inspiracji pracowni. Organizatorzy myśla o powiększeniu ple-neru o rezerwy.

W poczciwości swojej organizatorzy zrodzi-li się na zakus o pracę w prawem niemożliwym. W ZPAW w Białymstoku zasę-gerowano im, że malarze za-stawiają obrazy najsłabsza. Ale jeśli wszystkie obrazy są mierne?

Należy starannie dobrać uczestników pleneru. W tym roku zabrakło ponoć na to czasu.

Oby za rok plener zaow-cował na wernisażu pełnym artystycznym, a nie wielkocno-nymi malowaniami.

JERZY MUSZYŃSKI

„Trybunał wyobraźni”

W niedzielę, 10 wrześ-nia o godz. 20 w Spół-dzielczym Domu Kultury w Sokółce odbędzie się pierwszy „Trybunał wy-obraźni” (na wzór audycji telewizyjnej), którego ha-sło „Dobre i złe o melo-dramacie” powinno ściga-

nać reszce publiczności. Imprezę poprowadzi An-drzej Komar, melodrama-tu bronić będzie Lidia Orlikowska, oskarżać zaś — Walentyna Kazmierczyk (wszyscy z WDK w Białymstoku). (jot)

„Jarmark cudów”

nowej gawiedzi — zaprezentuje się „człowiek bez nazwiska”, wcielający się w niezliczoną ilość postaci: parody-sta — Tadeusz Marek, Całocia występów na estradzie po-kiertuje Bordan Jaroszewicz.

Zobaczmy ponadto, jak wygląda happening w wykona-niu Jerzego Kaliny.

Każdy na „Jarmarku cudów” znajdzie z pewnością coś dla siebie, a jeśli nawet nie kupi i nie sprzeda — z pewnością setnie się ubawi i sporo ciekawych rzeczy zo-baczy. Tych zaś, którzy lubią patrzeć na świat przy pomo-cy aparatu fotograficznego, zapraszamy do wzięcia udziału w białostockim konkursie „Jarmark cudów” w obiekty-wie, urządzonym przez MDK i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego. Komu uda się uchwycić na kliszy ciekawe sytuacje, ludzi, przedmioty, może liczyć na atrak-cyjne nagrody. Najlepsze z fotografii posłużą później do sporządzenia wystawy. „Co, jak i gdzie” — w sprawie kon-kursu — te wątpliwości można rozstrzygnąć, pytając o nie organizatorów przy estradzie głównej na jarmarku.

Zapraszamy do wspólnej zabawy!

(mib)

Plener w Karwicy

10 września, w ośrodku wypoczynkowym BZPB „Fasty” w Karwicy roz-pocznie się wspólny ple-ner malarzy artystów-plastyków i amatorów, zorganizowany stara-niem przedsiębiorstwa oraz Zarządu Miejskie-go ZSMP w Białymsto-ku. Uczestniczyć będzie w nim 12 malarzy pro-fesjonalnych, 8 amato-rów spośród załogi „Fast” i kilkunastu z innych białostockich przedsiębiorstw. Plener, organizowany po raz trzeci pod hasłem „So-jusz świata pracy z kulta-rą i sztuką”, potrwa do 23 września, po czym przewiduje się specja-lną wystawę w ramach uroczystości 25-lecia fa-stowskiego kombinatu. (jot)

Archiwum Teodora Fontane

Ponad 150 tys. ekspona-tów — rękopisów, foto-kopii, obrazów i rycin, w-pisanych, Teodorowi Fontanie gromadził archi-wum w Poczdamie, będące filią Deutsche Staatsbibli-othek w Berlinie. Znajdu-ją się tam również związane z osobą pisarza wydawni-cwa i artykuły.

Placówka ta powstała przed 40 laty. Po drugiej wojnie światowej stała się między innymi centrum badań spulchny Fontane-go. Od 1965 r. wydaje się tu dla abonentów z 15 krajów periodyk pt. „Fontana-Blaetter”. Biała wystawa gromadzi księgozbiór pi-sarza, portrety rodzinne i fo-tokopie rękopisów. (FAP)

Węgierska kinematografia nie należy do wielkich potentatów. Niewielka roczna produkcja obli-guje, należy sądzić, twórców węgierskiego kina do mier-nia się z problematyką istotną, która jest bliska nad-dunajskim przyjaciółom. Powstają tam dzieła spo-łecznie ważne, mądre, nieustannie poszukujące toż-samości narodowej, a do tego realizowane w wysoce artystycznej formie.

Mimo oczywistych war-tości tego kina, Węgry uważają (i chyba mają rację), iż ich filmy są mało w świecie znane, zaś jedynym twórcą, który przebił się poza granice kraju, jest Miklos Jancso. To było główną przy-czyną powołania przed pięciu laty międzynarodowych kur-sów kina filmowego w E-ger, których celem stało się przybliżenie węgierskiego ki-na obcokrajowcom. W tym ro-ku w dziesięciodniowym kur-sie uczestniczyło blisko 100 o-sób. Obok Węgrów do Egeru zjechali przedstawiciele An-glii, Bułgarii, Czechosłowacji, Francji, Irlandii, Meksyku, NRD, Tunezji, ZSRR oraz sze-scioosobowa delegacja Pol-skiej Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych.

Tegoroczne kursy rozpoczął retrospektywny przegląd wy-branych dzieł Zoltana Fa-briego, czołowego twórcy ki-na węgierskiego średniego po-kolenia. Fabri debutował w te-bule w tym samym roku co

szkości swego kraju, żeby móc spojrzeć w oczy historii.

Spotkanie z Andrasem Ko-vacssem poprzedziła projekcja jego najnowszego dzieła — „Kierownik stacyjny”, którego akcja rozgrywa się w roku 1950, tematem zaś są proble-my polityki wewnętrznej mło-dego ludowego państwa. Do

interesujących i ważnych fi-lmów, prezentowanych na e-nerskich kursach, należy rów-nież zatytułowany „80 huza-rów”, opowiadający o zbunt-o-wanym oddziale, który podą-ża z pomocą ojczyźnie wita-jące huzarów kulami. Autorem scenariusza, reżyserem i ope-ratorem tego filmu jest San-dor Sara, a film powstał w ko-produkcji z polskim zespó-łem „Kadr”. Podczas spotka-nia w Eger Sara powiedział, iż sztuka m. in. powinna uk-a-zywać cenne strony prze-

życia, niebezpieczeństw ale-go.

Widac, Widać wyraźny zwrot do tradycji, do proble-matyki węgierskiej. Tylko ta-kie kino — zaangażowane w przeszłość i teraźniejszość swego kraju, odważnie sta-wiające pytania o tożsamość narodową, często bolesne — ma szansę dialogu z publi-cnością i powodzenia, co po-

twierdzą badania frekwencji. Filmy te również zostały en-uzastycznie przyjęte przez u-czestników kursów, często z nieukrywaną zazdrością.

Poza projekcjami, spotka-niami i dyskusjami kierow-nictwo kursów zorganizowa-ło jednodniową wycieczkę w okolice Egeru, w góry, gdzie obejrzelśmy kościół z XIII w., stajnię koni rasowych i zwiedziliśmy muzeum powo-zów i dyliżansów, jak rów-nież starych uprzyję. Nieza-pomnianym przeżyciem była wycieczka kolejką wąskotoro-wą do „Doliny dzwcząt” —

BOGUSŁAW PEZOWICZ

Egerskie lato filmowe

(Korespondencja własna z Węgier)

Wajda — w 1955 — filmem „Karuzela miłości”. Dzieło to momentami bliskie stylizyce Felliniego, obnażał przesady społeczne, pokutujące na wsi węgierskiej. Obok „Karuz-e-li” zaprezentowano gorz-ko-groteskę o narodzinach faszy-zmu „Akcja profesora Hanni-bala”, nagrodzoną Grand Prix na festiwalu w Karlo-wym Varach. „Dwadzieścia godzin” — piękna opowieść o przemianach świadomości chłopackiej po roku 1945. „Mro-wisko” o sile natury ludzkiej, łamiącej kanony klasyczne i wreszcie ostatni film, który wkrótce znajdzie się na na-

węgierskie ostatniego sezonu. Pełen patosu, a zarazem bo-lesny epizod historii Węgier przedstawia romantyczny fresk historyczny „80 huza-rów”, opowiadający o zbunt-o-wanym oddziale, który podą-ża z pomocą ojczyźnie wita-jące huzarów kulami. Autorem scenariusza, reżyserem i ope-ratorem tego filmu jest San-dor Sara, a film powstał w ko-produkcji z polskim zespó-łem „Kadr”. Podczas spotka-nia w Eger Sara powiedział, iż sztuka m. in. powinna uk-a-zywać cenne strony prze-

życia, niebezpieczeństw ale-go.

Łatwo zauważyć, że naj-nowsze filmy węgierskie są bardziej realistyczne, skłania-ją się w stronę dokumentu, unikają pytań abstrakcyj-nych, niebezpieczeństw ale-go.

Poza projekcjami, spotka-niami i dyskusjami kierow-nictwo kursów zorganizowa-ło jednodniową wycieczkę w okolice Egeru, w góry, gdzie obejrzelśmy kościół z XIII w., stajnię koni rasowych i zwiedziliśmy muzeum powo-zów i dyliżansów, jak rów-nież starych uprzyję. Nieza-pomnianym przeżyciem była wycieczka kolejką wąskotoro-wą do „Doliny dzwcząt” —

BOGUSŁAW PEZOWICZ

Warto zobaczyć

W przyszły piątek, 15 września telewizyjne Stu-dio Teatralne przedstawi „Parady” Jana Potockie-go. W rolach głównych m. in. Piotr Fronczewski, Ewa Dąkowska i Marek Kondrat.

NA ZDJĘCIU: fragment spektaklu.

CAV

relaks

Psia rewia

Dużym zainteresowaniem nie tylko ze strony hodowców, ale i sympatyków czworonożnych przyjaciół cieszyła się V Podlaska Wystawa Psów Rasowych. Na stadionie w Zwierzynicy oglądaliśmy ponad 200 psów różnej rasy. Wiele z nich było utytułowanych o czym świadczyły liczne medale zawieszane na szyjach.

Tegoroczna wystawa zorganizowana została z okazji 50-lecia Polskiego Związku Kynologicznego i 30-lecia białostockiego Związku. Obecnie białostocki Związek Kynologiczny zrzesza 200 członków prowadzących kilkanaście hodowli różnych ras.

(Let)
Fot. Z. Lenkiewicz



Zbigniew Waydyk

MYŚLI NIESFORNE

Farmakologia wychodzi nam naprzeciw — już wkrótce novum: myślenie w pigułce.

Modne niebo: bez przesterów zatrudnienia w branży anielskiej.

Wywindowani na szczybel, nie mogą nagle sygnalizować, że cierpią na chorobę przestrzeni.

Specjaliści od technicznej rozróby też gotowi uważać siebie za technokratów.

Charakterystyczny element gastronomicznego pejzażu: rejonu kałonośne.

Dla większej pikantki, niektórzy i na drodze donikąd stawiają drogowskazy.

Niedopięte problemy rehabilitują się zwiększoną ilością podpiętych załączników.

Inwazja znieczulicy połączone jest zawsze z blokadą sumienia.

„Spartacus” zamiast ręki

Na odbywającej się obecnie w Rocquencourt koło Paryża międzynarodowej konferencji poświęconej manipulacjom, zdemontowano urządzenie, które pozwoli osobom z paraliżem kończyn górnych na wykonywanie szeregu czynności codziennego życia. Manipulator ten o nazwie „Spartacus” skonstruowany przez francuski Instytut Informatyki i Automatyki, przejmując niektóre funkcje ludzkiej ręki. Z jego pomocą można między innymi zjeść posiłek, przekartkować książkę lub czasopismo, a nawet napisać parę słów. Mechanizm sterowany jest ruchami głowy. Osoba upośledzona, poprzez nacisk wywierany tyłem głowy na system czujników, jest w stanie wykonać ramieniem manipulatora szereg prostych ruchów. Dzięki zastosowaniu mikroprocesorów i wprowadzaniu specjalnych „programów”, możliwe jest również wykonywanie ruchów bardziej złożonych, zbliżonych do czynności wykonywanych w życiu codziennym.



Zaczęto o nim mówić po premierze „Zerwana” — sztuki wystawionej pod auspicjami Aleksandra Dumasa — ojca. Potem niedoszły prawnik wydał grubą powieść historyczną, pisze libretta do operetek i wodewili. Jednocześnie, jak wszyscy młodzi ludzie tamtego wieku „pary i elektryczności” Jules Verne żywo interesuje się różnymi wynalazkami, pilnie wertuje publikacje z zakresu fizyki i matematyki, astronomii i geografii. W Paryżu trwają przygotowania do pierwszej od czasu braci Mongolfier wyprawy balonowej, ukazuje się przykład komiczno-fantastycznego opowiadania Edgara Allana Poe „Bujda balonowa”. Dlaczego bujda? — zastanawia się Verne — trzeba opisać podróże balonem ze wszystkimi szczegółami, tak jakby odbyła się ona naprawdę, gdy to się uda, można by zaryzykować cykl przygód przyszłości. Obłożony artykułami i książkami fachowymi tworzy Verne swą pierwszą powieść fantastyczno-naukową „Płec tygodni w balonie”. Teraz duża, bezowocna wędrówka po wydawcach. „Ech, panie Verne, żeby tak coś o miłości...”. Zostaje tylko wielki Hetzel, potentat i duszgras, wytrawny znawca potrzeb rynku. Z miejsca przyjmując utwór Vernego — on z góry wie, że na tym zarobi. Jules Hetzel — odkrywca Julesa Vernego, odkrywca i „właściciel” pisarza przez długich lat dwa-

Klasyk gatunku science fiction

dzieścia. Ale uszczęśliwiony sukcesem Verne nie zdaje jeszcze sobie z tego sprawy. Mając wydawcę tworzy dalsze powieści, które złążą się w przyszłości na słynny, przeszło 50-tomowy cykl „Voyages extraordinaires” — Niezwykłych przygód na morzu, w powietrzu i pod ziemią.

Rzecz zastanawiająca, że Verne, umysł otwarty, prawnik z wykształcenia, znośił z jakąś niemal benedyktynską pokorą tyranie finansową Hetzela. Zresztą nie tylko finansowa. Hetzel był także adiutorem i cenзором większości jego książek.

Verne zrywał się w cichości ducha na traktowanie go jako nisko opłaconego wyrobnika, na zmiany w rękopisach, niekiedy nawet usi-

lował protestować, ale prawda była taka, że w owych czasach podobnie jak Hetzel postępowali i inni wydawcy, nie istniało w praktyce pojęcia prawa autorskiego, warunki dyktowały firmy wydawnicze. Zerwanie kontraktu z Hetzelem zmusiłoby Vernego do nowych poszukiwań, a on chciał być zupełnie wolny od trosk tego rodzaju, chciał w spokoju tworzyć. A Hetzel na swój sposób był nawet przywiązany do swojego „niewolnika”. W maju 1875 roku, w szóstym już z kolei kontrakcie, Hetzel pisał: „Biorąc pod uwagę sukcesy pana J. Vernego, jaki przyniosło mu opublikowanie „W 80 dni dookoła świata” postanawia się płacić autorowi po 50 centymów od każdego sprzedanego mu tomu”. Była to oczywiście śmiesznie niska suma, ale ważny, że przedtem pisarz otrzymywał jeszcze mniej pieniędzy.

Obecnie nazwisko Hetzela nie już nikomu nie mówi, podczas gdy powieści Vernego są czytane przez coraz to nowe pokolenia młodzieży. Współpraca z nim aż nadto dała się we znaki autorowi „Kapitana Nemo”, ale jedno Hetzelowi trzeba przyznać. Od razu poznał się on na wartości pisarstwa Vernego. Zrozumiał, że gatunek literacki, który on reprezentuje, jest nie mniej atrakcyjny niż piękne skądinąd utwory Hugo czy Dumasów.

(PAP)

Dotkliwa kara

24-letni rozrabiacz Thomas Williams oskarżony o pobicie właściciela baru (baru) w angielskim mieście Havant, został skazany za chuligańskie ekscesy na wyjątkowo dotkliwą karę. Sąd zakazał mu wstępu do wszystkich pubów na Wyspach Brytyjskich. Jest ich aż 95 tys., zaspokajających konsumpcyjne i społeczne potrzeby Brytyjczyków. Rzadko kiedy muszą oni szukać baru dalej niż kilka ulic od miejsca zamieszkania. Bardzo często chodzenie do baru przekształca się w jedną rozrywkę i sposób spędzania wolnego czasu.

JACHTY ŚMIERCI

W przystani jachtowej w Honolulu, wśród 700 różnych statków stał jacht „Kamalii”, należący do amerykańskiego milionera naftowego Doheny'a. Na pokładzie znajdowała się tylko 3-osobowa załoga.

Wypadki rozegrały się błyskawicznie. Na jacht wtargnęła trójka uzbrojonych bandytów, którzy u nieszkodliwili załogę i następnie wypłynęli z portu. Na pełnym morzu bandyci wyrzucili za burtę marynarzy razem z małą gumową łodzią ratunkową. Jakimś cudem na mało uczęszczanym szlaku morskim wyłowili ludzi z morza przepływający tam przypadkowo tankowiec, który drogą radiową zawiadomił amerykańską policję o tym co zaszło. Samolot patrolowy szybko odnalazł na morzu skradziony jacht i naprowadził na niego amerykańską łódź patrolową. Po strzelaninie bandyci zostali ujęci. Byli to dwaj 25-letni b. żołnierze USA, którzy walczyli w Wietnamie: Kerry Bryant oraz Mark Maynard. Trzecim okazał się były strażnik ochrony wybrzeża USA, 27-letni Michael Melton.

Działo się to w 1971 roku. Dopiero jednak parę lat później FBI, po ujawnieniu innych podobnych wypadków, doszło do wniosku, że jacht „Kamalii” płynął do Syjamu, gdzie miał być przerobiony na frachtowiec do przemysłu heroyny.

ZAGINĘŁO 611 JACHTÓW I 2 TYS. LUDZI

To zdarzenie oraz inne fakty przypomina prasa amerykańska po zaginięciu ostatnio znowu paru jachtów.

W latach 1971-1974 zaginęło bez śladu 611 jachtów typu „Kamalii” oraz ponad 2 tys. osób — pasażerów i załóg.

Dziś amerykańscy funkcjonariusze mówią, że już w 1970 roku ginęły po 2 statki miesięcznie, w 1971 wzrosło to do 12 statków, a w następnych latach nawet do 17 miesięcznie.

Jachty pełnomorskie wcale nie ginęły w legendarnym Jul Trójkacie Bermudzkim, lecz w Zatoce Meksykańskiej oraz na Pacyfiku. Zagadkowe i tragiczne znikanie ludzi i jachtów „sbięgło się” w USA z ogromnym napływem narkotyków.

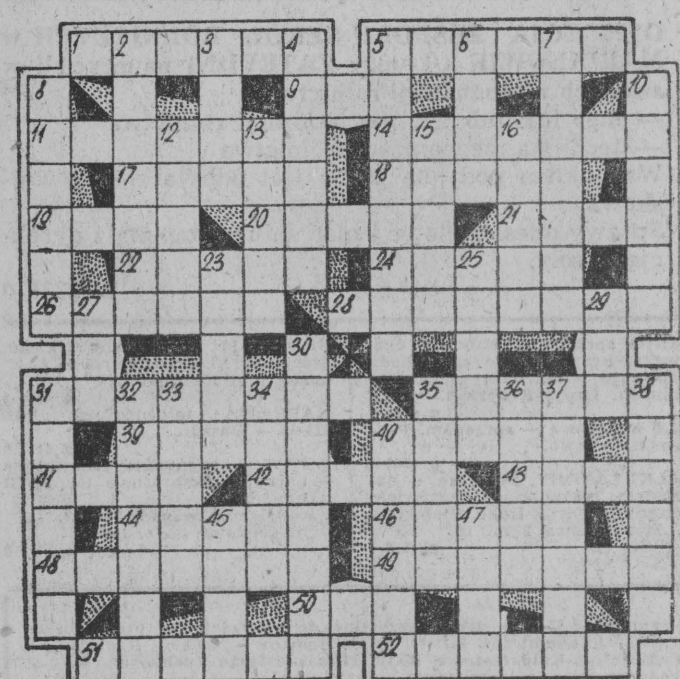
W wielu krajach Południowej Ameryki przerabiano wtedy opium pochodzenia południowoazjatyckiego na heroine. Kolumbia stała się „eksportowym szlazierem” Boliwii i Peru. Marihuana była produkowana w gigantycznych ilościach w Ameryce Środkowej i na Karaibach. Kolumbia i Wenezuela stały się wielkimi stacjami przeladunkowymi narkotyków.

GDY NIE MOŻNA BYŁO SAMOLOTAMI...

Najpierw wielkie narkotykowe gangi przemycali cały ten towar do USA drogą powietrzną. Samoloty lądowały na terytorium Ameryki albo zrzucały swój cenny towar z powietrza w umówionych miejscach. Gdy jednak policja zaczęła czuwać nad obszarem powietrznym, transport lotniczy stał się od roku 1970 już zbyt ryzykowny i nieopłacalny.

Handlarze narkotyków przeczuli się wówczas na żaglowiki i na jachty motorowe. Ładowanie na terytorium USA tymi środkami transportu okazało się znacznie łatwiejsze. Samoloty wybrzeża Florydy ma 2 tys. km długości i niezliczoną ilość zatok nie do upłynowania. Pomimo tego brygady do walki z narkotykami miały pewne osiągnięcia. W styczniu 1977 roku przechwyciły 8030 kg marihuany z Jamajki oraz 20120 kg marihuany transportowanej z Kolumbii.

Do niewielu skradzionych a odnalezionych jachtów należał „Imamou” wartości 60 tys. dolarów. Jeden z detektywów wykrył, że był on uprowadzony do Środkowej Ameryki, a jego załoga została wymordowana. Niestety detektywi nie mogli złożyć żadnych wyjaśnień w tej sprawie, gdyż sam został wymordowany w tajemniczych okolicznościach.



POZIOMO: 1) w drzewach do zawieszania kłódek, 5) wielki, gesty las, 9) stolica Baskirii, 11) odmiana czerwieni, 14) szczególna donica, 17) wyspa na Bałtyku, 18) tkanina ubraniowa, 19) wszelka broń, 20) korona papieża, 21) partnerka 13 pionowo, 22) ostatnia ratunka, 24) weksel ciągnięty, 26) oddział produkcyjny hut, 28) składa się z kilku plutonów, 31) umowa, 35) ciężka tkanina, 39) przeciwieństwo degradacji, 40) czysta wełna, 41) marka radzieckich samochodów osobowych, 42) ojczyzna Odysusa, 43) jedna z prac rolniczych, 44) rodzaj tonacji, 46) trawa odrastająca po skoszeniu, 48) środek przeciw malarii, 49) nowe kadry, 50) prosty, ostry lub rozarty, 51) imię autora powieści „Komu bije dzwon”, 52) ósmak.

PIONOWO: 2) brzeg, kant, 3) kananejski bóg przyrody i płodności, 4) instrument muzyczny szarpany, 5) widełki

KRZYŻÓWKA

strolkowe, 6) gatunek kawy, 7) kindżał turecki, 8) uczy się bez nauczyciela, 10) przyjemne spędzanie czasu, rozrywka, 12) do pieczenia mięsa nad ogniem, 13) partnerka 21 poziomo, 15) zawiadomienie o zbliżającym się niebezpieczeństwie, 16) włoska „Trybuna ludu”, 23) pierwsze mleko po porodzie, 26) wołanie na psa tresowanego, 27) część nogi, 29) gatunek wierzby, 30) wyciąg, 31) obrzędowe ciasto weselne, 32) więcej niż potrzeba, 33) autor powieści „Królewicz i żebrak”, 34) jon o ładunku ujemnym, 35) obchodzą imieniny w Dniu Kobiet, 36) pięta, kajdany, 37) broń palna, 38) zespół komórek organizmowych, 40) procent

owe zmniejszenie sumy należności, przyszanawane nabywcy towaru w razie zapłaty należności gotówką przed umówionym terminem, 43) bogini zwycięstwa, 47) imię kompozytora „Tańca z szablami”.

„LESZEK”

Wśród czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesła prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy pięć nagród książkowych. Na kopertach prosimy zaznaczyć: „Krzyżówka z nr 206”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 200

POZIOMO: odłik, makak, okulary, podstęp, Masaryk, okapi, oczko, sala, ankra, awał,

mórg, zbór, podbój, sąsiadka, figlarka, klasyk, Aral, Eryk, skoś, wręta, gnat, ceber, gawot, ochrona, anatomia, makówka, kawka, liana.

PIONOWO: odpis, ładłod, kota, lupina, samorząd, mysz, korowód, kakol, kępa, raca, skarb, Akaba, amoniak, Arktyka, górski, zielen, ekstrakt, Grochów, laser, argot, synteza, gęgawa, siolek, wena, tank, trasa, boma, Waal.

NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki zamieszczonej w „Gazecie” nr 195 z 26 sierpnia br., nagrody książkowe w drodze komisijnego losowania otrzymali: Alicja Socha z Hajnowki, Janusz Budrowski z Suwałk, Grzegorz Kucharczyk z Bolek oraz Renata Wasilewska i Zdzisława Białopłocka z Białogostoku.

Nagrody prześlemy pocztą.